

Figurka z miśnieńskiej porcelany

Była to niewielka, ale bardzo piękna dama pochylona w dworskim ukłonie. Artyście udało się wiernie oddać najdrobniejsze szczegóły. Błękitna suknia zdobna była w kwiaty i złocenia, a wysoka peruka ufryzowana w niezliczoną ilość loków. Liczka różowiły się na kieteryjnie uśmiechniętej twarzy. W lewej dłoni dzierżyła złożony wachlarz. Nieco wysunięta nóżka obuta była w biały trzewiczek ozdobiony kokardą w kształcie motyla...

*

Hrabina Maria Elżbieta von Gaschin czując, że jej ziemski wędrowka zbliża się do końca, sporządziła testament, na mocy którego zobowiązała swego syna Karola Ludwika, by po jej śmierci sprzedał należący do niej okazały dom, a uzyskane środki przeznaczył na ufundowanie dziękczynnej kolumny Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia.

Zanim opuściła ten ziemski padół, frau von Gaschin postanowiła osobiście przeglądnać zgromadzony na miejscu dobytek. Pośród niezliczonych bibelotów szczególną jej uwagę cieszyły się wyroby z miśnieńskiej porcelany. O tak, wielce sobie ceniła podarunki Augusta II.

- Król, to król – mawiała. – W końcu to Pomazaniec Boży. Nawet, jeżeli polski.

Jej świętej pamięci mąż, Jerzy Adam Franciszek, pochodził z zacnego rycerskiego i hrabiowskiego rodu i swego czasu wielce zasłużył się Sasom, stąd te unikalne prezenty. Tymczasem jej uwagę zwróciła figurka damy dworu, była prawdziwie piękna. Chcąc nacieszyć nią oczy, hrabina zbliżyła figurkę do oczu. Starcze dłonie nie były już zbyt sprawne, figurka wysunęła jej się z rąk i upadła na stół. Na pozór nic się nie stało, ale przy bliższych oględzinach dało się zauważyć niewielki ubytek przy sukni. Hrabina była perfekcjonistką, toteż nie tolerowała niczego niedoskonałego. Zdecydowała pozbyć się figurki tym bardziej, że w jej posiadaniu znajdowały się dwa okazalsze i co ważne, nieuszkodzone dzieła miśnieńskich mistrzów.

- Kogo by tu obdarować? – zastanawiała się wiedząc, że dla większości mieszczan, byłby to prawdziwy skarb. – Już wiem! Ten urzędnik Komory Książęcej, taki pomocny w kilku sprawach, jakże on się nazywał... aha, Jeschionek – przypomniała sobie.

**

*

Z pudełka wyściełanego sianem, Fryderyk Jeschionek troskliwie wyjął owiniętą w jedwabną chustę porcelanową figurkę.

- To porcelana – wyjaśnił zgromadzonej rodzinie i służbie.

- Ależ to cudne – zawołała z zachwytem żona Fryderyka, Luiza.

Inni domownicy z niemym podziwem przyglądali się temu arcydziełu. W tym momencie do salonu wpadł dziesięcioletni Walter, najmłodsza latorośl państwa Jeschionków.

- Jakie ładne! – zawołał chłopiec i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, chwycił figurkę chcąc się jej lepiej przyjrzeć.

- Nie rusz! – krzyknął przerażony pan Fryderyk.

Dziecku, zaskoczonemu wybuchem na ogół bardzo spokojnego ojca, figurka wyslizgnęła się z rąk. Upadła z niewielkiej wysokości, ale i już to wystarczyło by ukruszył się trzymany przez damę wachlarz.

**

*

Wykonawca testamentu hrabiny von Gaschin, Karol Ludwik, dopilnował by mistrz Johann Melchior Österreich rzetelnie wywiązał się z powierzonego zadania. Kamienna statua prezentowała się naprawdę okazale. Zdobna w herby fundatorów i wizerunki świętych Floriana, Sebastiana i Marcelego górowała nad rynkiem.

Poświęcenie statui w 1727 roku było dla Raciborzan prawdziwym świętem. Przybył nawet biskup z Opawy. Rynek był wypełniony nie tylko mieszkańcami, ale i przybyłymi z okolicznych wiosek ciekawskimi.

Fryderyk Jeschionek nie musiał się tłoczyć pośród gawiedzi, gdyż jako urzędnik miał zapewnione miejsce pomiędzy oficjelami. Jego rodzina również była uprzywilejowana, jako że okna ich mieszkania wychodziły na rynek, mieli więc doskonały widok. W związku z tym zawitała do nich, mieszkająca na Nowych Zagrodach, siostra frau Jeschionek, Gertruda Glenz wraz z dziećmi. Ledwie weszła do salonu jej spojrzenie od razu powędrowało do porcelanowej damy.

Och, jak Gertruda zazdrościła siostrze tego cacka! Przecież nie była od niej gorsza. Co prawda jej szwagier był urzędnikiem, ale czymże było mieszkanie (nawet takie przy Rynku) wobec ich popularnej i świetnie prosperującej gospody w Nowych Zagrodach? A jednak to właśnie Luiza mogła co dzień cieszyć oczy takim skarbem.

To niesprawiedliwe – pomyślała z goryczą Gertruda. – Że też to się jeszcze nie stłukło, takie kruche. Zaraz, zaraz... a może by tak dopomóc przypadkowi? Wykorzystała moment,

kiedy nikt nie patrzył i przesunęła figurkę na sam kraj półeczki, tak że trochę nawet wystawała, a sama, jak gdyby nic podeszła do okna.

Nie trzeba było długo czekać, żeby stało się to, co nieuniknione. Uroczystość poświęcenia pomnika dobiegła końca. Kiedy biskup ze swoją świtą opuścił rynek, dzieci odskoczyły od okien i nawet nie wiadomo które potrąciło półkę...

- Oj, co za nieszczęście! – z fałszywym żalem zawołała Gertruda. – A takie to było piękne.

Gospodyni nie miała złudzeń co do charakteru swojej siostry. Pomimo cisnących się do oczu łez, postanowiła nie dać jej satysfakcji.

- To nie tylko było, ale dalej jest piękne – zapewniła. – Nawet z utraconą dłonią.

**

*

Mijały lata...

Służąca państwa Joachima i Ernestyny Jeschionków, szesnastoletnia Hilda, robiła cotygodniowe generalne porządki w salonie. Jej pani, frau Jeschonek była bardzo wymagająca. Każdy z rozstawionych na półkach bibelotów musiał być najpierw wymyty prawdziwą gąbką(!), a potem wytarty do sucha. Świeczniki, puzderka i figurki były naprawdę śliczne. Tylko figurka damy odstawała od reszty. Może kiedyś była ładna, ale teraz szpeciło ją kilka wyraźnych ubytków.

- To rodzinna pamiątka, uważaj na nią – ostrzegła pani Jeschonek, kiedy dwa lata temu wprowadzała dziewczynę w czekające ja obowiązki. – Co prawda mamy miśnieński serwis obiadowy na dwanaście osób, ale teraz może to kupić każdy...

- Każdy? – przysłuchujący się pan Joachim uniósł brwi. – Nie przesadzaj.

Był trochę snobem, ale takim raczej nieszkodliwym.

- No, prawie każdy – poprawiła się pani Ernestyna. – Jednak ta mała figurka trafiła tutaj do naszej rodziny przed prawie dwustu laty i jest prezentem od samego króla.

Nie uznała za konieczne dodawać, że to nie ich rodzina została obdarowana. Zresztą, po tylu latach, kto wie jak było naprawdę?

- To już wtedy państwa rodzina mieszkała tutaj? – zapytała Hilda. – Nie wiedziałam, że te domy są takie stare.

- No, może nie dokładnie tutaj, ale też na Rynku – wyjaśnił pan Joachim. – Te współczesne kamienice są znacznie młodsze, jednak prawdą jest, że moi przodkowie też mieszkali przy Rynku, tyle że bliżej ulicy Długiej.

- Phi, też mi pamiątka – mruknęła do siebie Hilda, wycierając teraz figurkę. – Już dawno bym to wywaliła. U nas, na odpuszcie bywają ładniejsze, a przynajmniej całe.

Z rynku, przez otwarte okna, dobiegały pokrzykiwania i śpiewy, ale Hildy to nie rozpraszalo. Przyzwyczała się już do tych propagandowych wieców. Zarówno polscy jak i niemieccy agitatorzy przekonywali ludność do swoich racji. Dzisiejsze zgromadzenie jednak różniło się od poprzednich. Niemcy świętowali swoje plebiscytowe zwycięstwo.

Państwo Jeschionek świętowali wraz z innymi. Samej Hildzie było wszystko jedno, czy Racibórz będzie polski, czy niemiecki, byle praca była, ale sporo ludzi naprawdę się cieszyło. Na przykład herr Jeschionek, był jakimś ważnym urzędnikiem w ratuszu, więc miał powody do radości...

Świętowały też różne organizacje: Związek Weteranów Wielkiej Wojny i Klub Gimnastyczny. Nawet Towarzystwo Strzeleckie przytoczyło na rynek swoją ceremonialną armatkę...

- BUM!!!! – głośny huk wystraszył Hildę.

- Brzdęk! – znacznie cichszy odgłos towarzyszył upadkowi figurki na dywan.

- Och! Pani mnie zabije! – jęknęła dziewczyna podnosząc z podłogi damę.

Biorąc pod uwagę dotychczasowy stan figurki, wielka szkoda się nie stała. Ot, odprysnął jeszcze jeden kawałek. Tym razem był to mało widoczny pukiel złotych włosów, ale mimo to...

**

*

- Jak oni mogli zrobić coś takiego? – bulwersowała się pani Ernestyna. – Żeby burmistrza nie wpuścić do jego gabinetu w ratuszu? To przecież wspaniały człowiek.

To prawda, Adolf Kaschny był postrzegany jako człek prawy i porządny. To za jego kadencji miasto zyskało na znaczeniu, choćby „Pierwsza Górnośląska Olimpiada” w 1925 roku. Teraz zwolniono wielu urzędników, a ich miejsca obsadzono „swoimi” ludźmi.

- Zdążyłem w samą porę – skomentował te wydarzenia Joachim Jeschionek. – Jestem już emerytem.

Owszem kryzys gospodarczy i rekordowe bezrobocie nie sprzyjały optymizmowi i ludzie z utęsknieniem wyczekiwali zmiany, ale kiedy ta w 1933 już nadeszła, nie wszyscy od razu stali się jej apologetami. Przede wszystkim co spokojniejszych obywateli raziły nowe metody sprawowania władzy. „Brunatne koszule” i ich sympatycy poczuli się panami sytuacji, lecz większość mieszkańców na razie nie miała wyrobionego zdania. Niektórzy z niepokojem spoglądali w przyszłość.

Z rynku dobiegały jakieś buńczuczne okrzyki. Jeschionek wyjrzał przez okno i zobaczył niewielki oddział „brunatnych koszul” naśmiewających się ze starego Goldfarba, który wraz z żoną prowadził owocowy stragan.

- Nawet o tym nie myśl – pani Zofia uspokajająco płożyła dłoń na ramieniu męża. – Za chwilę przestaną.

Niestety, nie przestali. Jeden z SA-manów wytrącił Żydowi z rąk koszyk z owocami. Jabłka potoczyły się po bruku przy akompaniamencie rechotu bojówkarzy.

Pan Joachim nie wytrzymał.

- Zostawcie go – zawołał z góry. – Co on wam zrobił?

- To przecież Żyd – odkrzyknął jeden z nich, jakby to wszystko wyjaśniało.

- To człowiek – odparł Jeschionek.

Ledwie zdążył się uchylić, kiedy rzucony z dołu kamień śmignął mu koło głowy. Nie był duży i na szczęście nikogo nie zranił, ale odbity rykoszetem od ściany i potracił stojącą na pianinie porcelanową damę.

- No i dograłeś się – sarknęła żona zbierając okruchy będące jeszcze przed chwilą częścią rozpostartej na krynolinie sukni. – Oby tylko dali nam spokój, ale obawiam się, że oni nie należą do tych, co zapominają.

Na szczęście zapomnieli, ale od tego dnia na wszelki wypadek pan Jeschionek nie wychylał się. Ani w swoich poglądach, ani dosłownie, przez okno.

- Nie wiem dokąd nas to zaprowadzi, ale mam niejasne przeczucie, że nie skończy się to dobrze – mawiał do żony, przesiadując całymi dniami w swoim ulubionym fotelu i bawiąc się niezapalonym cygarem.

**

*

Rosjanie byli tuż, tuż.

Nie było możliwości, by Jeschionkowie zabrali wszystko, wzięli więc tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Resztę, w tym sfatygowaną już figurkę, włożyli do kufra i zakopali w piwnicy. W pośpiechu nie zauważyli, że kolejny okruch porcelany odpadł od i tak już pokiereszowanej damy.

- Jak tylko się to wszystko uspokoi, to wrócimy, żeby zabrać te nasze skarby – przekonywał żonę pan Joachim uklepując łopata ziemię.

Rosyjski ostrzał artyleryjski obrócił miasto w perzynę. Co prawda na zachodniej pierzei rynku elewacje kamienic ocalały, lecz wnętrza były często wypalone, lub co najmniej rozszbrowane. I tak można powiedzieć, że w porównaniu z resztą rynku, ta strona zachowała się w najlepszym stanie.

Po wojnie zaczęto wywozić cegły na odbudowę stolicy, w końcu jednak i tutejszy rynek doczekał się swojej kolejki. Kamienice zostały zwieńczone attykami i tylko nie wiadomo kto wpadł na pomysł, żeby jedna z nich przedstawiała... wieloryby! W Odrze się ich raczej nie łowiło. Nie zmienia to faktu, że ta część rynku zyskała naprawdę ciekawy wygląd.

Zygmunt i Genowefa Marszolik wraz z trójką dzieci, byli jednymi z pierwszych szczęśliwców, którzy dostali mieszkanie przy Rynku. Kiedy już po pokojach porozstawiali swój skromny dobytek wzięli się za piwnicę. Pan Zygmunt zmontował zgrabny regał na słoiki, ale kiedy chciał go ustawić pod ścianą, to ten ciągle się chygotał. W tym miejscu z podłogi coś wystawało. Kufer!

Tym sposobem pp. Marszolikowie stali się właścicielami kompletu srebrnych sztucców, połączanej papierošnicy, kilku jedwabnych bluzek (właściwie to jednej, bo reszta spleśniała) i mocno poobtlukiwanej porcelanowej figurki. Były jeszcze dwa komplety pościeli, ale kompletnie przegniły.

**

*

Znów minęło kilkadziesiąt lat...

Krystyna Marszolik bezskutecznie przykładła do korpusu ubitą rękę porcelanowej damy. Nie miała kleju, więc nie było w tym sensu, ale w tej chwili pani Krystyna nie myślała

racjonalnie i tylko wciąż ponawiała próby z uporem godnym lepszej sprawy. Na jej policzkach łzy znaczyły lśniące ślady.

Paradoksalnie, pani Marszolik już dawno chciała tę figurkę wyrzucić, ale Stanisław, jej mąż, ją od tego odwodził.

- Zostaw – mówił. – Wiem, że to żadna ozdoba, ale to po rodzicach. Tato wykopał ją w piwnicy.

Tak więc figurka została, choć przez całe lata raczej straszyla, niż zdobiła. A teraz pani Krystyna usiłowała ją ocalić, jakby to miał być łącznik pomiędzy nią, a nieobecny mąż. Przyszli po niego po północy. Nie stawiał oporu, ale i tak zrobiło się małe zamieszanie i jakoś tak wtedy figurka spadła na podłogę.

Tyle razy męża ostrzegała

- Daj spokój Stasiu – mawiała. – Po co ci to? Czy ci źle?

- Tak, źle – odpowiadał niezmiennie Stanisław. – I dlatego próbuję coś zrobić.

A teraz co? Wzięli go jak jakiegoś kryminalistę. Dobrze przynajmniej, że mu kajdanek nie założyli.

- Niech się pani nie boi – próbował uspokoić ją ten najwyższy stopniem, chyba oficer. – Niedługo go pani oddamy. Nie o niego nam chodzi, to płotka.

- Niedługo... – westchnęła po raz nie wiadomo który.

Przesiedziała tak kilka godzin. Za oknem zaczęło świtać. Odłożyła figurkę, podeszła do kalendarza i zerwała wczorajszą kartkę. Ukazała się czerwona data – Niedziela 13 XII 1981.

**

*

Z okazji 900-lecia Raciborza przygotowano wielką fetę. Między innymi ulicami miasta miał przejechać król Jan III Sobieski ze swoją Marysieńką z towarzyszeniem husarii.

Z mieszkania Marszolików był świetny widok na królewski orszak. W oknach zasiedli nie tylko seniorzy rodziny, ale i kilkoro ich znajomych, a także ich wnuk Mateusz, któremu już prawie dwa lata temu odstąpili jeden z pokoi.

Króla Jana odgrywał znany aktor, a Marysieńkę, była miss Polonia. Było to naprawdę okazałe widowisko, a wieczorem jak większość mieszkańców miasta wybierali się na stadion, na koncert Piotra Rubika.

- Zamknij okna – przed wyjściem poprosiła pani Krystyna wnuka – Co prawda na razie nie ma wiatru, ale nie chciałabym, żeby ewentualny przeciąg nam coś tu poprzewracał.

Mateusz ruszył w stronę okien, kiedy jak na zamówienie jakiś silniejszy podmuch szarpnął okiennicą, która stuknęła o stojącą w rogu stylową serwantkę. Prawie nic nie ucierpiało. Prawie.

- No i wykrakałaś – bez złości westchnął pan Stanisław. – Teraz to już naprawdę trzeba będzie wyrzucić.

- Chyba rzeczywiście nie mamy innego wyjścia – zgodziła się z nim żona. – To już całkiem niepodobne do niczego. Taka dama bez głowy.

- Nie tak szybko, babciu – zaproponował Mateusz. – To się da skleić, mam taki specjalny klej.

- No nie wiem... głowę przykleisz, ale innych ubytków już dawno nie ma. Nawet tej ręki co się stłukła jak dziadka zabierali.

- Hm... – zamyślił się Mateusz. – Tak sobie myślę, że ostatnich uszczerbków ta figurka doznała nie tak bez okazji, ale zawsze wtedy, kiedy działo się coś ważnego. Poprzednio, kiedy wprowadzono stan wojenny, a teraz akurat obchodzimy 900-lecie Raciborza. Kto to wie, może i wcześniejsze, hm... kontuzje też miały miejsce przy jakiejś „okazji”.

- Tego się już pewnie nie dowiemy – skostatowała pani Krystyna.

- Może coś w tym jest – odezwał się pan Stanisław. – Przypomniało mi się, że mój ojciec przyniósł figurkę z piwnicy razem z ubitą ręką.

- Być może poprzedni właściciele pakowali ją w pośpiechu z obawy przed Rosjanami.

- Zapewne, a wkroczenie „wyzwolicielei” można chyba uznać za ważne wydarzenie.

- No, raczej – zgodził się Mateusz. – Myślę, że najlepiej zrobimy, jeśli zostawimy tę figurkę. Jestem przekonany, że w Raciborzu jeszcze niejedno się w przyszłości wydarzy, a na naszej miśnieńskiej damie pozostało parę miejsc do potłuczenia. Co wy na to?

Sprzeciwów nie było.

KONIEC